

EDWARD PASEWICZ

Dolna Wilda


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

EDWARD PASEWICZ

Dolna Wilda

[Dedykacja]

dla Marka

Egzotycznej rybie z akwarium w Café 2000

Gdybym mógł, przełożyłbym cię z obcego
albo napisał od początku we własnym języku.
Za grubą szybą ty i ja mamy przyciężkawe sylwetki
wyciętych z kartonu kukielek.

Ja pracuję bardzo nad sposobem widzenia,
podglądam świat przy sąsiednich stolikach —
przystojnego Studenta, Wojaka-brzuchacza
i dwie lesbijki, z których jedną znam
od dziecka — ty podglądasz nas.

Jesteś grubą szarą kielbaską z wylupianymi oczami,
co chwila przylepiasz się do szyby
otworem gębowym i zsuwasz się w dół.
Właściwie nic ważniejszego ponad to.

Chociaż to obce, obce, obce.

Nijak się tego nie da oddać tutaj.
Wojak-brzuchacz już za chwilę zaśnie
i będzie ginął pod Sarajewem, rażony
sztucznym choinkowym ogniem,
Student wymieni spojrzenia z Barmanem
i dwie lesbijki, z których jedną znam,
zasną wtulone w siebie na kanapie.

Rondo

Zapisuję zdarzenia
zimy są rodzajem wodospadu

i nie brzmi to absurdalnie.
Złodzieje wydają się
nieruchomym stawem, w którym
znikają przedmioty. Ale słowa
dzieją się tak źle jak oni,
zgarniają nas i na pętli
muszę ci odpowiedzieć:
nic nie mam, zniknęło.

Idziemy do domu, który zbudowano
na miejscu ogrodu.
Pamiętam wiatr,
co wyginał gałęzie, gdzieś zapisałem
ten wiatr i teraz płacze się w umyśle
drgająca witka leszczyny,
ruchliwa jak oszołomiony węgorz.
Zamiast podłogi gałęzie,
konar zamiast sufitu, sypialnia
pełna zimnych i wilgotnych liści.

Teraz jest tu pusto, dom stracił zęby
dziaśła rozmiękły i mięśnie drżą,
rosa osadza się na niezdrowej skórze.
Linoleum traci połysk za dnia,
budzi się nocą, kurcząc i pękając.
Dzielnica jest zła i złe są urzędy,
zła pogoda i źle dobrane słowa, by
opisać ten stan — krzyk orlika
nagrany przez ornitologa, jego
głos jak szron.
Mam suchy język i nie chcę
klepać modlitw. Nawet nie
dochodzimy do furtki, kiedy
zmieniam plan. Lepiej zostać
tutaj. Patrzeć jak na sąsiedniej
parceli kopia fundamenty.

Czarna owca — lotki

W jej dłoni to nie żadna broń,
a jednak zręcznie ciśnięta, dałaby nam
zagadkową śmierć i parę nagłówków w gazetach.

Zresztą nie jest sama.
W tej części sali oddzielonej nami jak murem
one dominują. W głosach rozpoznaję
psie warczenie i werble, niejasno przypominam
sobie mit o rozszarpaniu, to dobrze
być tak rozszarpanym?

Pomiędzy nimi eteryczne porozumienie,
ruchy ciał zsynchronizowane ze sobą
i na myśl przychodzi studzienka
z zapalek, a właściwie ostatnia
faza budowy, gdy wstrzymuje się oddech,

by wszystko nie runęło i właśnie
w takiej chwili pojawia się gość-idiota,
niepewny ruch niweczy wszystko.

Niwecz — to właśnie słowo tak nęci,
gdy patrzę jak odchylają ramiona
i rzucają w tarczę.

Nie kojarzę tych cieni z niczym,
są własne.

Małe liturgie

Teraz, kiedy palimy ubrania i papiery
i jest minus dziesięć stopni — wciskamy się
w tę biel, jakby była ogromną poduszką.

Dla patrzących z góry (jeśli są tacy),
musimy być wrednymi stworkami, które
tworzą czarną plamę, płaczą nad nią —
i dokładają do ognia, żeby czern była
jeszcze czarniejsza.

Trochę to nielogiczne dla nich,
woleliby pewnie wszystkie te ptasie
ruchy na drążku, przewracanie oczami,
wypieki na policzkach, stroszenie piór
i wieczorny lament; a tu nic z tego,
przedstawienie jest ascetyczne jak
liturgia zen. Czern, biel, dłoń i szmaty.

Gdzieś na zachodzie wielki czerwony
Budda Amithaba uśmiecha się i szepcze,
że wszystko jest kwestią umysłu.
Pozbywamy się zbędnych przedmiotów,
po prostu. Po prostu, ale przedmioty,
uczucia, całe to życie to jeszcze nie to.
Jest jeszcze pamięć

i „całe to bagno z pieniędzmi”.

Piszemy operę

Zima i wszystkie z nią związane kurwy
zbliżają się do nas z tamtej strony nieba.

Chodzi być może o rachunki za prąd,
grube ubranie i możliwość grypy.

A z tamtej strony nieba jest ciepło,
są dalekie kontynenty i nowe wrażenia.

Mieliśmy pisać z Prochaską operę,
lecz na razie brzmi tylko uwertura.

Nie do uniknięcia jest zły człowiek
na scenie i jego śmierć w ostatnim akcie.

Materiał jest na razie jak piasek,
a potrzebne są tajne obrzędy.

Będziemy udawać śpiewaków, którzy
udają, że nie są prawdziwi.

To właśnie dziwi: prosty zbiór dźwięków
powtarzanych bez końca, tak pięknie.

Pokoiki do wygaśnięcia

„Odczuwamy bezkształtny strumień powietrza”
i sen jest formą echa. Wewnętrzny głos
a w jego nurcie inny jeszcze, jakby rdzeń?

A z czego się składa ta piosenka,
to akwarium tonów, ten sklepik cichy
po szesnastej w niedzielę na Podolanach?

Rozluźniam mięśnie grzbietu i słucham,
z którymś oddechem przyjdzie zrozumienie,
wtedy jeśli powiem *jasno*, to będzie to
powiedziane.

Rozprasza mnie myśl, że poza słowami
istnieje jeszcze tyle „tonów składowych”,
w ciele budzi się ochota, by się zachłysnąć,
zapowietrzyć i błysnąć jak magnezja,
ale to niemożliwe.

Upchnąć się całkiem
w słowach i wysłać, to jest marzenie,
aż pod powiekami przemyka cień i żyłka
drga w oku jakby chciała pęknąć,
lecz nic się nie dzieje:

„Mały jadowity ludek
pracuje spokojnie i draży głębokie tunele,
rzeka podnosi się i zalewa wszystko,
tylko w świecie widać jej piękno”.

Dzień dobry dźwięku

Wąlickiej piwnica zawaliła się latem.
Podmyło dom bezustanne gadanie.
Sam brałem w tym udział, siedziałem na schodach
i opowiadałem sny erotyczne
z tobą na scenie.

To znak?
Czy już trzeba by przemilczać niektóre
frazy?

W kolejce do ucieczki pierwszy
czuje się trochę głupio, tyle tu cząstek i drobinek,
ceremoniałów i obrządków, które żal opuścić —
wszystkie te rybnie fantazmaty, pokrętne
i powymyślane historyjki,
czysta źródłana fikcja —

czy będą trwałe bez treści puste foremki?

Czy dotknie czule ktoś, kto miejsce przejmie
i rolę?

Wszyscy chcą się bawić w październik
i wygnanie z raju.

Za szelestem liści
słychać dźwięk domowych pianin.

Pierwsza piosenka

Puch, zapach, pamięć nieskomplikowana.
Skorupka winniczka zgnieciona pod butem.
Dzwonecznik z utopioną muchą.
Kamień nad Kwisą. Jajecznicą rankiem.
Ręczna robótka przy samochodzie,
jazda bez świateł po wąskiej ulicy.
Szelest tej kurtki, znajomy tak bardzo,
że o pomyłce nie może być mowy.
A jednak to tylko nerw pod powieką
drga bezradnie i dręczy.
Noc w ramach zemsty nie przychodzi wcale.

Kantyczki pana Sommera

I
Szaleję za tym momentem w ciągu
dnia, gdy ruch już przygasa
i czas zdaje się lekko utykać
(jak ten brudny chłopiec) w biegu.

Wszystko jest złudzeniem, nawet
seans w podziemnym kinie,
gdy po południu zamiast dialogów
słychać warkot motorów, szum szynowych
pojazdów i słuch defloruje kilkuset

przyjezdnych, znęcających się
na dworcowej hali nad planem miasta.

Gdzie iść, zdają się pytać te oczy
w otulinie z soczewek kontaktowych —
czy jakakolwiek ścieżka jest własna?

Cokolwiek powiedzą, baczny wzrok
Kasjerki rejestruje ich twarze,
całkiem jak przemysłowa kamera.
Choć pozornie podstemplowuje bilety,
przeświewla ich i ich mrok.

Znam ją doskonale i bez potrzeby
nie podchodzę do kasy. Wolę
trzymać się z daleka, niech inni kupują
bilety, ja w końcu mogę poczekać.
Półślepy wychodzę na zewnątrz
i w trawę rzucam niedopalek.

Nad Odrą

Dziadek Barczuk umierał na raka
w Kostrzynie nad Odrą. Tam było pełno mew
i dlatego to są martwe ptaki.

Dni już nie pamiętam, ale są ścieżki,
znaki wydrapane w małym kamieniu.
Na przykład studnia, którą czyścił,
a do której ja wrzucałem śmieci i zabawki.

Pulchny jak laleczka, w zielonym sweterku,
buła z plasteliny, wrzeszczałem
kiedy wyszedł z niej w gumowym ubraniu.

Chciałbym powiedzieć: cały
w wodorostach, z wodnym bogiem we włosach,
z błyskiem w oku, jakby odkrył
tajemnicę, którą — wiecie — przekazał mnie.
Lecz nie powiem, był suchy i miał
szeroką szczękę, żółtą skórę
i sękatę dłoń.

Dotykam drzewa — tak myślałem wtedy
i nie myliłem się wcale.

Prokofiev Andante Sognando

Przyszło nam Marku mieszkać na dnie morza,
bez snu i jedzenia, w kącie, tam przy desce,
gdzie krab wśród jabłek szyderczo porusza
nierealnymi szczypcami, bo jabłka są tu wszędzie,
tak jak i ludzie tu wszędzie, i wszystko jest
ludzkie w zasadzie, nawet krab i dno i piasek,
w końcu nawet woda Marku jest tu czymś człowieczym.

Mieliśmy mieszkać gdzie indziej, lecz ponury
schemat otulił nasze ciała i wyładowaliśmy.
Teraz twarz twoja jest bąblem powietrza, można
na nią patrzeć z boku jak na wykrzywioną maskę.
Chce mówić, ale z ust płynie strumień wody,
ryby wokół zbierają się, by patrzeć, coraz ich
więcej wokół twoich ramion.

Senne saneczki

Czy mnie potępisz, śpiący między szynami
liściu łopianu,
kiedy się głucho odbijają od ciebie
pomruki pierwszych przechodniów?

Gdybyś się nagle uniósł, mógłbyś całkiem
zakryć tę wiatę na Kórnickiej,
gdzie czekam na szóstkę i wymyślam, co
powiem szefowi, gdy zapyta, dlaczego
tak późno przychodzę.

Mógłbyś mnie otulić i zwinąć się jak cygaro,
tak, żebym mógł przeczekać atak mgły
i ten chłód, który się wzmaga i rodzi
podejrzeń, że nie zatrzyma się wcale.

Mógłbyś też (wcale nie żartuję) stać
się tym tajemnym zieleńcem, które daje
przez chwilę wrażenie, że jest się bez ciała.
Ale ty jesteś postrzępiony i żółkniesz
w kilku miejscach naraz.

Jeszcze kilka
dni i nie zobaczę cię tu wcale — senne saneczki
będą ześlizgiwać się z pagórka,
dzieci ugniotą śnieg, wdrapując się pod górę,
będę wsiadał na innym przystanku.

Deszcz na Czajczej

Gdyby to była ulica
prowadząca w dół,
do oceanu, wystarczyłby
rozbieg, potem skok
i leżąc w chłodnej wodzie
patrzyłbym jak mewa
krąży ponad plażą,
(zawzięta idiotka).

W końcu ukazałby się potwór
z wody w płucach
i pod powiekami,

chwila grozy starczyłaby
by uciec do domu,
gdzie zawsze się pali
żółte elektryczne światło.

Lecz to, co tu jest,
to ledwie kałuża po
deszczu i samochód, który
ochlapał mnie właśnie.
No i myśl, że jest coś
religijnego w tym zimnie
i błocie ściekającym
z twarzy tak powoli

że można zrozumieć
język-szum.
Zgłoski zlepione
galaretowatym wdziękiem.

Tę chwilę przed następną
falą błota,
między osobówką a tirem.

Wiersz osobisty

Niech Buddowie i Bodhisattvowie
błogosławią mojego Marka.
Jego oddech płytki i szybkie spojrzenia,
dźwięk przelanej śliny i lęk przed czasem,
taki jak mój.
I jego tętno i taniec nad ranem przy Św. Marcinie
i też taksówkę, jazdę bez trzymania się zasad,
zbite szklanki, skaleczenia nocą,
wychodzenie przed czasem z najlepszej imprezy.
Tę drogę w dół, która każdemu z nas znaczy
twarze i dłonie, stopy i usta, bez której bylibyśmy
jak porzucone przez ptaki gałęzie,
ciemniejsi o ton
i mniej obecni niż teraz, kiedy stoimy
przy kiosku i patrzymy na tych, co dzwonią
i tych, co przechodzą.
Niech błogosławią, kiedy wszystko jest
odległe i dzieje się teraz, dzwonek tramwaju
i syk opon, puszkę po farbie, którą wiatr popycha,
lecz ona obraca się wokół własnej osi,
unieruchomiona przez kamień.

Drukarenka głodu

I
Pisze się duże, głębokie litery,
głębokie jak jeziora, nerwowe jak rzeki,

pospieszne jak masturbacja w łazience
ekspresu, który sunie przez środek Europy.
Z tych liter nic nie wynika, żaden kwiat,
jemioła albo złamana łodyżka,
tajemny sok, trucizna lub napój miłosny,
który podaje jedna kurwa drugiej.
Wszystkie te teatralne spowiedzi,
te lalki umazane szminką, umiłowani
w Bogu sąsiedzi, wszystko zatapia się
w powodzi sinego światła.

2

Nie spodziewałem się pęknięcia, więc
nie unikałem zrywanych zasłon, wrzasku,
racy na niebie, krwi w przedsionku serca,
no i tego dziecka znalezionego zaraz potem.
Co za historia z tym dzieckiem, wyplatanym
z żył i ścięgien, z bolesnego kiczu, jak fotel
z wikliny, żeby tylko usiąść, pobujać się i spać.
Spieszę się kochać, bo śmierć mnie dopadnie
nagiego, w pościeli, sepleniącego do poduszki,
że mogłem zadzwonić, zadzwonić, lecz
nie miałem siły i teraz natura wlewa się tu zewsząd.
Ptaki wieszczą śmierć, a mechanizm utyka,
muzyka dociera, lecz matowo i głucho.

3

Pisze się głębokie, czarne litery, i krzywi,
na myśl, że w druku wyjdą inaczej.
Trucizny dziś mało kogo obchodzą
a śmierć jest podlejszego gatunku.
Dziś, gdybym miał telefon komórkowy,
dzwoniłbym do ciebie, prze całą drogę.
Powiedziałbym: przygotuj sobie zęby,
przygotuj stopy i dłonie, ulecz sutki
i zimno na wargach posmaruj maścią.
Niech twoje uda będą blade i drżące
jak wtedy, gdy nad jeziorem zatapiałem
w nich wzrok i myślałem o topielcach.
Jak im się wiedzie pod wodą, jak?
Ci, którzy zawsze pozostają na brzegu
w żółtych sztormowych kurtkach —
chciałem być jednym z nich dla ciebie
niezatapialnym, w gumowych butach
po brodzie. Patrząc w resztkę kawy
drżącą w kubku, gdy pociąg hamuje,
widzę ich właśnie:
dziecinnych jak wycinanki poławiaczy.

4

Tik-tak, pamiętam błoto i kamyk,
lustro i sznurek, tabletkę, tapetę, i ułamek zęba.
Drukarenkę, na której z gumowych liter
układałem twoje i moje nazwiska.
Tysiące nazw własnych, głodnych, niespożytych,
całe psalmy radosne, wysadzane
w powietrze korkami kupowanymi na strzelnicy.

Zdjęcia korzeni o dziwacznych kształtach
i gałęzi splątanych tak, że przypominały twarze.
Butelkę po mleku, w której schowaliśmy skarb;
inicjał wydrukowany na skórce, która zeszła ci
z pleców. Woreczek z kurzem zebrany
z podłogi, ścinki włosów, spermę we fiolce.
Zakopałem to wszystko pod drzewem, myśląc,
że nie umrę dopóki ta drukarenka będzie
jak tama bronić przed wywarem rzeczy,
które uroniłem, a o których śniesz ty.

5

Połowa mnie w tobie, a druga odchodzi
tym wąskim chodnikiem, obryzgana błotem.
To błoto jest ważniejsze od innych obrazów,
ściekające wolno po błękitnej nogawce,
tak wolno, że rejestruję zmiany, utykam
lekką, żeby nabrało dramatyzmu
to proste, bez fabuły, przedstawienie.
I pojawia się błazen i doktor, i kobieta
w foliowym płaszczu, obojętna jak drzewo.
Przechyla głowę, rozgląda się ptasio,
odchodzi zostawiając płaskie mokre ślady.
Piszę głębokie, mokre litery, truciznę
dla suchej powierzchni, zdzieram opuszki
palców, wydrapuję kamyki, żeby było gładko.

Estella

M. G.

Co chciałbyś nam powiedzieć
mały filozofie, kruszynko światła?

Popatrz, mam takie wąskie usta,
kiedy się śniesz, przechodzę przez bramę.
Czy myślisz, że któregoś snu utknę
na zawsze, jarząc się przez chwilę
jak brutalnie zalane wodą ognisko,
skierki unoszące się w powietrzu?

Czy może zostanę jak popiół?
W drobnych dłoniach będziesz
mnie trzymał i w ptasi sposób
podglądał, czy ta szarość oddycha?

Może przesadziłem z dłońmi,
trzeba było powiedzieć o powietrzu,
o lotności, o linoskoczku. Śmierć
trzyma nas wszystkich w garści
i potrząsa, jakbyśmy byli srebrnymi
solniczkami, w restauracji Estella,
i ma twarz pana kelnera, kiedy
na tacce podaje rachunek. Gdy
wychodzimy, uśmiecha się i znika

za ciężką czerwoną kotarą.
To scena? Takie się rodzi pytanie,
a potem obłoczek pary w powietrzu
znów zamienia się w twoje oko,
o którym znajomy buddysta powiedział:
piękna mandala, piękna.

Coś chciałoby się usłyszeć, choć
jesteś przypomnieniem, kanarkiem
w klatce, karykaturą widoku.
Lecz być może nie można inaczej,
trzeba mierzyć palcami odległość
i oczekiwać świtu, półdrzemiąc
na ławce przy ulicy Mostowej.

Wiersze na głos i perkusję

Wszystko zależy od Zety i kasy,
deszcz nawet, który wyrócił
donicę na werandzie. Rododendron
ze swymi bezradnymi liśćmi
nasiąka teraz chemikaliami, coś
brudnego czai się za tym obrazem.

Liczę w myślach pieniądze,
bębni jednak intensywnie. Gdyby
wystawić na ten deszcz perkusję,
byłaby z tego niezła muzyka,
naturalny automat. Krople spadając
na blachy wprawiałyby je w drżenie
i szelest łączyłby się z płynącą
strugami wodą. Tak, za tym obrazem
drzemie coś brudnego, choć
błyskawica tu nie przybędzie
by rozjaśnić mrok. Co najwyżej
odetną prąd i doliczę się tych
rzeczy, na które mnie nie stać.
Ciemności kosztują tyle, co światło.

Ci faceci w czótenkach

tkających na wodzie wzór nie do odczytania,
pracują wszystkimi mięśniami.

Nawet ich szczęki prują wodę jakby darły
tkaninę z napisem „Malta 2001”.

Siedzę tuż przy jeziorze i myślę,
że też jesteśmy z wody. Wielki ocean
wylałby się z nas wszystkich tu zgromadzonych.

Przepłynął kajak,
smuga po nim znika — piana się jeszcze
kołysze, lecz następna fala ją niszczy.

Dziecku obok pęka balon i spiker
ogłasza koniec mistrzostw świata.

Kantyczki panna Sommera

2

Przed chwilą dzieci pytały mnie
o literaturę i, wiesz, stałem się jak zegar;
chodzę w tłumie, ale to nie jest wskazanie,
to tylko błąd przyzwyczajenia.

Mogłem stać się rybą, wazonem
lub czystą sentencją, język
złapałbym na gorącym uczynku,
mógłbym powplatać się w rzeczywistość
tylko czy komuś potrzebny gobelin?

Glob i owszem, ludzie lubią okrągłe.
Boją się płaskiego, no i szczelin,
stamtąd zawsze może wyjść przyczajony
konduktor i zażądać biletów,
co drugi ich nie ma i szczyrzy zęby,
ale taryfy ulgowe nie istnieją.

Wszystko to ładnie wygląda, stół,
karta dań i to, że jest wybór;
osnuwać słowami chwilę,
to wydaje się kuszące, a potem jak
pająk wyssać ją i pusty kokon
zostawić dla pamięci.

Niech dziecko tam chodzi i uderza,
niech wierzy, że dźwięk jest pełen znaczenia.
W końcu po to ustawiłem w tej ciszy
ten niemożliwy instrument.

Kriegsmarine¹

Wyrzuciło nas na plażę między
Niechorzem a Rewalem.
Zatonąłem jak łódź podwodna kapitana Hirscha.

Kriegsmarine byłaby dumna, widząc jak idę na dno,
jak odmierzam dno, jak dnem się staję między
brzaskiem a dniem, wpadając ci w oko
w światłach dyskoteki, gdy pytasz mnie,

¹*Kriegsmarine* (niem.) — marynarka wojenna. [przypis edytorski]

jak się czuję w tej koszulce oblepionej
wodorostami i czy mogę ją zdjąć.

Chcesz rzucić okiem na tors, na nogi, na uda,
na jądra kołyszące się jak dzwony,
na to skwaszone podniebienie.

Chcesz mi usta językiem, taką wielką mową,
większą niż mowa najświętszego ze świętych,
otworzyć, żebym mógł mówić,
żebym mówił wiele, żeby z tego
mówienia zrodziło się istnienie.

Lecz nic nie zdjąłem, nie pokazałem,
nie ruszyłem się z miejsca.

Patrzyłem jak asfalt paruje.
Jak się woda-ptak zrywa ku niebu.
Z miną obojętnego onanisty
położyłem się na placu, gdzie
przed chwilą kołowały najnowsze
wielkie samochody.

Słuchałem jak dudni.
Słuchałem jak dnieje.
Drzewo bez gałęzi widziałem
pod powieką.

Wariacje listowe „Vischer odchodzi”

I

Wskaż drogę żałobie, jeśli sama jej nie zna.
Inaczej ugrzęźnie i na jednej częstotliwości
będzie nadawać swój program z ponurego
studia.

Na deskach werandy swą werystyczną
mordę położy jak wyleniła suka, w jej uszach
dźwięk fletu będzie bezustannym żalem.

Och i żadnego tao ni nirwany, żadnych
fajerwerków w gwiazdkową noc, tylko
ta chwila wyluskana jak groch brzęcząca
w upiornej grzechotce.
Poznałem ten cytat z nagich gałęzi;
to zimowe jabłko oblodzone całkiem,
na tle bezchmurnego nieba.

Błysk zrozumienia przed nagłą śnieżycą.

2

Kim jesteś Vischer
to niejasne i twoje idylliczne
życie też jest ciemnością.
Stadko synogarlic
nawołuje cię lekko

i trznadle pazurkami
chwytają nieobecność.
Smog też chce pewności,
że jesteś gdzieś w pobliżu
węszy, ale nie znajduje.
W gnieździe wilg
twój wilgotny ślad

Mahler forever

O Röschen roth²! Tak mistrzowie
posługują się cytatem. Stoję na
progu i myślę jak dźwięk
przenika twoje ciało. Czy jest
jak niebieskawe płomyki gazu?
Jak ta pianka na wodzie,
gdy pod ciśnieniem wypływa
z kranu? Boję się myśleć o mgle
wśród żerdzi, na których
opierają się krzaki pomidorów;
czy dźwięk jest jak ona, czy może jak
te krzaki — odnogi w różne strony
niesymetryczne łodygi i liście?

Czy mógłbym dźwięk przełożyć
na dotyk? Rankiem to dobre pytanie,
gdy stożkowate dachy poniemieckich
domków zaczynają się rozjaśniać.
Ulica jest jeszcze zamroczona,
ale przecież jest nisko, *nisko*, tak,
że nie słyszy mojego pytania.
Czy to nie głupio uklęknąć i brukowi
szeptać do kamiennego ucha?
Czy to nie głupio tak straszyć
Biegańską,
która podgląda ze swojego okna?
Ona już biegnie tutaj i poły szlafroka
furekoczą jak flagi. O ten dźwięk nocą
chodziło, w zamierającym akordzie;
na jego tle
ostatnie w perkusji taneczne akcenty.

W starym stylu

I oto umarła nam kompletnie.
Martwa jest noga i szorstka pięta.
Zgięcie w kolanie też świeci pustką.
A z ciepła brzucha pozostał popiół,
czarna saszetka wypełniona puchem.

²O *Röschen roth* — fragment wiersza Johanna Wolfganga Goethego wykorzystany w II symfonii Mahlera.
[przypis edytorski]

Nawet papieros, ten nędzny motyl,
złączenie płuc, trucizny i oddechu,
jest tylko napisem na słupie ogłoszeń,
który nic nie mówi przechodniom.
Bo martwe są usta, którymi on włada.

I nawet ja, leżący przed południem
w zatęchłej już nieco pościeli,
jednorazowy jak strzykawka, nasiąkam
jak wacik i ciemnieję wewnątrz.

Choć chciałbym rozjaśnić się i ufarbować,
zmienić ton i przebieg rozmowy,
to jednak głos pozostaje głuchy
na inne brzmienia poza własnym brzmieniem.

Alfabet prywatny

W powietrzu na Mogileńskiej
nie ma żadnego żywiołu, snuje się
i popycha balon, który pozostał tutaj
po niedawnym sylwestrze.
Ciągnie za sobą także
książeczkę świadków Jehowy,
która otwarta grzbietem do góry
karmi się śniegiem z pobocza.
Jest jak w kasynie, do końca nie wiadomo,
która litera puści farbę.
Tuż za nią torba fistaszków
szamocze się w krzaku, ekscentryczna
jak kanarek, z otwartej paszczy
wysypuje lupiny i to jest rodzaj
śpiewu, chrzęst i chrobot ledwie
wyczuwalny w melodyjnych poświstach.
Nic mnie nie łączy z cyrkiem chwastów
do połowy przysypanych śniegiem,
poruszam się w drugą stronę i mijam
ich bezruch. W taką pogodę trzeba
krążyć i własne ślady opatrywać
milczeniem. Miła jest ta logika kroku,
te repetycje dodające otuchy,
chrzęst i znak na śniegu.

Malta

Tu kończy się bajka. Zamykam
więc oczy i już nie trzeba się oczyszczać.

Wiersz jest jak zespół luster, obraz
odsyła do obrazu, błyski pojawiają się
na zewnątrz, gdy ktoś odpala papierosa lub
świeci latarką w ziemię wokół kwiatów,

szukając rosówek, które polkną ryby,
które pan kucharz i wiadomo co dalej.

Naczynia się łączą w delikatnym seksie,
naczynia na umysł, śmierć, życie, herbatę.
A strych i piwnica to są labirynty
i kości czaszki służą jak materiał
do zwieńczenia makabrycznego żartu.

Będziemy pili z własnej czaszki, jeśli
tylko zręcznie i chyżo wypowiem zaklęcie.

Lecz milczę, patrząc jak wpisujesz
w rubryki cyfry i łacińskie nazwy,
obserwuję rękaw twojej koszuli
i diabeł mnie kusi, by pisać o nim,
jakby w ten materiał wcieliła się potęga
wszechświata, lecz cytat, tytuł znany
z dzieciństwa, w jakąś fałdkę mózgu
zawinął się niegdyś i właśnie zbudził;
jest tylko rzeczywistość i właśnie jej nie ma.

Powtarzając tę mantrę, wychodzę na balkon.
Burza nadciąga od strony Malty.

Mat o brzasku

Wypiliśmy trochę, więc zaszło słońce.
Przed przejazdem kolejowym ustawiona szachownica.
Dróżnik jak kot. I gubiłem się w zakurzonej szybie,
sądząc, że ty się odbijasz, nie ja.

Resztę milczenia we mnie otwierał ten widok:
taksówki ciągnące pod górę, wyjące jak w procesji,
przy każdym zakręcie.
Mówiłem ci:
święto ciała zaczyna się o tej porze,
włosy stroszą się i elektryzuje skóra.

Kto posłał te metalowe chrząszcze, ażeby błdziły
po wąskich drogach? To jedynie cię zajmowało:
ruch skoczka i przegrana, za pierwszym razem
przełknięta jak zimna herbata.

Tego się spodziewałem.
Ryku silników, powolnego dudnienia, kurzu na wargach.
Mówiłem: jadą z pobliskiego miasteczka,
mówiłem: oczyść się, rękawem przetrzyj, albo
wstań i umyj.
Odpowiedź zawsze była ta sama.

Świczysz w ciemnościach chłopcze,
masz mata.

II lutego 2002

Pamiętam śniegu,
żeby cię pozdrowić,
kiedy jest poniżej zera.
Kończysz się
w wyższych temperaturach,
tak jak ja na skutek
myślenia, ale
zatrzymać się nie da;
rój głosek w mózgu
wciąż się powiela
i przebija przez
chęć, by zapomnieć.

W czymkolwiek
się roztopisz, zawsze
nadejdzie pora,
że coś z ciebie wróci
na trawnik przy bloku,
mnie też nie leczy
ta myśl — stoję
po kostki w tobie.

Jest świt.

Książeczka dla Marka

Wiersze nie mają tytułów
i firany wybrzuszą się też niezatytułowane,
dobrze by było, gdyby żadnych nazw
nie wytrawiał na płytce podstępny lokator;
lecz nie ma wyjścia — zaryglowani
siedzimy w tym puchu, ja, ty i tych
paru facetów, z którymi cię zdradziłem.

Z kuchni dobiega dźwięk — to Tomasz
parzy herbatę — dźwięk wielokrotnie złożony
jak zdanie, przypomina o dwugłosie:
w najdoskonalszej
konstrukcji przychodzi moment, gdy
nie ma stykających się ramion.

Więc nie stykamy się, no i nie mówimy,
z dzióbka czajniczka leje się woda
ja, ty i tych paru facetów — też pewnie
zdradzanych — słuchamy przez moment;
dzyń łyżeczki kończy rozmyślanie,
skrzypienie drzwi przekreśla je całkiem.

Druga piosenka

Nieszczelne okna i kiepska pogoda,
stare gazety wciskam w szpary,
a i tak świszczy i zawodzi.
Nieszczęśliwy jest ten okienny prorok
i mówi, jakby nie chciał być zrozumiany.
Wyłączyłem telewizor, pralkę i lodówkę.
Jedno słowo złapać w ten sposób
to sukces, dwa to mistyka; zdanie
byłoby jak objawienie. Napisać później
komentarz i dać tytuł „Opowieści szczeliny”,
przez moment wierzę, że może się udać,
i to wystarcza, żeby poczuć zdziwienie.

Blizny

Już bielutkie jak nitki strzępiące się
na prześcieradle,
zapamiętałem, tak jak nosowe mon frere.

Śnieg też utkwił w pamięci,
kawał lodu właściwie,
można by się w nim przejrzeć,
gdyby tak nie zniekształcał.

I okno — to ważne — całkiem otwarte.

Zapamiętałem gołębia na sąsiednim
parapecie, o którym pomyśleliśmy,
że jest kamerą i śledzi nas mozolnie
i przasnie, wysyłając do gołębiego
nieba co pikantniejsze kawałki.

A ptasi widzowie pomstują
na nasze zezwierzęcenie
i to, że w ich oczach jesteśmy martwi,
przywiązani do siebie i nadziei;

później deszcz go spłoszył
i wybuch wulkanu w telewizorze.
Byłoby dobrze gdyby został,
ślad byłby wyraźny, a tak z pamięci
wylaniała się strużka potu,
kamień, co przeleciał przez rynnę
z wielkim rumorem, i pranie łopoczące
jak flagi przy państwowym święcie.

Szum wody, już później w nocy,
myśl o kukielkach i kukurydzy,
wszystko namalowane na tekturze,
pornograficzny komiks pod powieką.

Kalekie kontynenty

Wąska uliczka Jaskółcza lub Kozia,
domy jak gdyby pną się ku górze.

Mam wrażenie, że to tunel,
który jest przełykiem węża.

Opierasz się o ścianę
i mówisz: niemożliwe.

A przecież nie da się wykluczyć,
że jesteśmy drobinkami jadu
i rośniemy, by zatruć te cegły, okna, dachy,
że istniejemy, by psuć drzwi wewnątrz węża,
by jego żebra brać za mosty i skakać z nich
w rzekę jego zimnej krwi.

Elegia sucholeska

Gdybym krzyknął, nie usłyszałby mnie nikt,
anielskie zastępy to sztuczne włosy — peruczka
kiedyś przyciskana do serca przez starszego pana,
która musiała umrzeć, choć jeszcze się stroży,
tu na wysypisku.

Przerazić się tej „rzeczy” to wstyd,
beznamiętnie podziwiać też nie można — jej kolor
pękł i pękają też rzeczy wokół niej, jakby
zadomowiła się tu jakaś istota, wirus albo
owo beznamiętne „coś jeszcze”, czynnik iks.

Zadomowić się tutaj to niemożliwe, chociaż są
mieszkańcy — ptasi jazgot unosi się nad
kępkami traw, które pokryły już stertę ubrań
i puchną od mchu kraciaste koszule i spodnie,
jakby na nowo — po porzuceniu — wypełniało je ciało.

Ale tu nie da się kochać, bo język jest bezradny
wobec fragmentów szczątków i zapożyczeń:
twarz tutaj, to jest ślad po rozmowie, głos
usłyszany, gdy przez szczelinę w reszcie muru
przepływa powietrze
i śpiewa ów nikt będący tu wszędzie.

Gdybym krzyknął, nawet gdybym to zrobił,
to *co* usłyszałby ów słuchający, bohater bez cienia
i możliwości podróży?

Gdzie w słowie „pragnąć” giętkość się odzywa,
w którym miejscu błyska możliwość zrozumienia —
nie wiem, między zgięciem kolan (żeby tu usiąść)
a chłodem od ziemi jest tylko widok.

Kochać

to dużo, żeby nie powiedzieć za wiele. Ten widok —
peruczka u stóp — dostarcza wszelkich wyjaśnień.
Jej pleśń od wewnątrz i połysk, gdy słońce oświetla,
to jest język nie do przełożenia — onieśmiela i kusi,
żeby wyciągnąć dłoń i dotknąć. Lecz niczego nie zmieni
ten gest. I pozostanie pusty.

I nic, żadnych wieści, telefon głuchnie w dłoni,
choć jest zasięg, granica jest dalej.
Zmienić trzeba przyzwyczajenia i dróżki, bo można
spotkać własną zdradę, a wtedy zaświeci ci w twarz
i będziesz musiał opowiedzieć, a nie ma żadnej historii,
są dzieci błakające się bez celu po Szewskiej
i Wroneckiej — gdzie już nie możesz chodzić.

A płonie coś, płonie na dłoniach, jest zaśpiewem ptaków,
choć słyszysz to od ludzi, pod bramą
na Różanej, gdzie rosną drzewa morwy.

Klucz, który
otwierał drzwi mieszkania, leży przy źdźble trawy,
trawa wypełnia twoje myślenie,
toczy się trwanie jak kulka śniegu, ciągnie za sobą
i mnie też nie zna, jak wszystkich przede mną,
żadnego przestoju, zmiany taktu czy rytmu:

to płonie tak, płonie ta dłoń.

Zmowa dzielenia

Nie was mieliśmy na myśli senne grubaski,
rzucając szklanką w ścianę obok — to szkło
wykrzywiło mi policzki, a jemu zacisnęło usta.
Żadna myśl o was nie przeszła przez
zranioną czaszkę i jego zimne oczy na was
nie spojrzały, w żaden sposób.
Gdybym miał dłonie wędrujące samotnie
po sali pełnej ludzi, też by was ominęły —
w waszej drzemce nie ma miejsca
na chłodny sen o zdradzie,
a takie jest dziś widowisko.

Światła, gdy przygasną, też dadzą wam spokój —
śpijcie spokojnie w swych czarnych koszulach.

Autobus czerwony

Piękny chłopiec.
Piękny mocny.
Piękny a śmiertelny.
Ludzie w autobusie

patrzą na niego.
Pełno jest spojrzeń,
które go taksują.
Kobiety i mężczyźni,
dzieci i martwe przedmioty.
Och, one szczególnie.
Pełen martwych przedmiotów
jest ten autobus, który
wiezie chłopca.

I wszystkie spojrzenia
są jakby jednym spojrzeniem,
może dlatego, że jest tak realny,
za długa jest koszulka
za duże są buty?

Spojrzenie ma rozbiegane
szczególnie na przystankach,
jakby czekał i wypatrywał
przy kolejnych wiatach
kogoś, kogo zna lub
kogoś, kto zna jego.

Lecz dojeżdża sam,
i nie zamienia
z nikim ani słowa.

Piękny chłopiec.
Piękny mocny.
Piękny a śmiertelny.
Pełne są jego spojrzeń
nasze nerwowe spojrzenia.

Powiedziałem:

to musi być dziura pod mapą,
przez którą tu wchodzi, a kiedy już
rozprostują skrzydła, jest za późno — katastrofa.

Z pokoju socjalnego na pewno
nie dochodzi żaden podejrzany dźwięk.
Wiem, że gromadzone tam papierowe kubki
już dawno odbiegły od normalności.
To pomieszczenie z każdym dniem
coraz bardziej przypomina kościół
obwieszony dewocjonaliami,

więc wchodzi przez tę dziurę,
żerują na twoich zdjęciach, urządzają sobie
swobodne przeloty tam, gdzie byliśmy sami,
przynajmniej do czasu, nim ktoś
swoje kroki zaczynał odliczać
na pustym korytarzu.

I nawet rzutnik, folię z wykresami,
stosy papieru, grzbiety książek, stare
długopisy, a także ruloniki, kalki,
przerysowane długie zwoje, gliniane coś,
leżące na biurku, spinacze, torebki
z tajemniczym pyłem — opanowały.

Wszędzie ich ślady, podłużne smugi.
Musiały znaleźć szczelinę w betonowej płycie;
gdzieś na spojeniu jaskiniowy uskok,
w budynku przypominającym kontynent.

I rzeczywiście nie mam nic do powiedzenia,
brzęczenie otumania, wpadam w trans
nad kartką, podczas gdy one zakreślają
coraz mniejsze koła — lśniące w popołudniowym
słońcu dwa wielkie szerszenie.

Sześć politycznych wierszy

Ten chłopiec, którego poderwałem w Café,
mówił, że umarł, uwierzyłem, choć uwierała
jego dłoń pod moją głowę.

Dlaczego ją podpierał, nie potrafię sobie
przypomnieć, jak strączek fasoli,
niczym martwa pacynka opadała po prostu
w sen.

A śniło mi się, że pisałem
sześć politycznych wierszy. Ktoś pisał
esej o nich i na murach rozlepiał
manifesty.

Dlaczego to był pies i jak się znalazła
magiczna kula potrzebna, by wybuchł
ogromny telewizor,
nie potrafię wyjaśnić.

Pamiętam już po przebudzeniu,
gdy jedliśmy śniadanie, drobinki kurzu
wirowały w słońcu. Nie wiem, czy
ma to jakieś znaczenie, że kiedy się zderzały
leciały w dół, tak właśnie, leciały w dół.

Festiwal teatrów kukielkowych

I
Malutkie postacie pod Multikinem
kołyszą się przy barierkach i nagle wybuchają,
confetti spada, a każdy płatek papieru ma krople krwi.
Kłuszczę i opadam na krzesło, by po chwili
znów się zerwać. Stoję przy oknie, chwieję się
jak pijaczek nad brzegiem basenu, ach woda,

ta najczarniejsza z metafor, znowu zwierzęco wypuszcza macki i otula goryczą, trudno zmartwychwstać, to zdarza się bohaterom wodewilów, kiedy z morskiej toni całych i zdrowych wypłują ich wieloryb.

2

Mój mały Mefisto, własne odbicie w połyskliwej resztkę kawy, szepcze i, choć nie rozumiem języka, wiem, że nim włada doskonale. W świecie odbić tylko takie przypuszczenie jest właściwe. Choć momentami, kiedy dłoń mi drży, ta twarz wygląda jak pogodowe fronty. Masy powietrza pędzą przed siebie i nie obchodzi ich małe przedstawienie dziewczynek z sąsiedniego bloku. Masy powietrza mają za nic historię foki i jej fiolki, i bezradność z jaką patrzymy na schody, przewidując słusznie, że, gdy stoczmy się lub nas zepchną, jakaś kość w małym światku nie wytrzyma. Lecz na razie potrafię utrzymać filiżankę, obracam ją i przyglądam się jak odmienia mi perspektywę. I wiem, że w końcu ktoś wypowie to zdanie: „jesteś w szklanej kuli i patrzę na ciebie, przewidując przyszłość z twoich ruchów gdy leżysz na starym tapczanie”, czy przejdzie mi wtedy przez myśl, że wszystko zależy ode mnie?

3

W oknie odbija się cień, ale on sam jest cieniem wyciętym z kartonu. Gdyby się uprzeć, karton to cień drzewa. Pomiędzy światłem i jego brakiem można krążyć bez końca. Z chlamu chwil rejestrowanych bez ustanku, zostaje osad, ochra, doskonała do barwienia. Barwa jakoś scala te wszystkie obrazki, bierze je pod skrzydła jak kwoka pisklęta i chociaż pijane to wszystko i niedorobione, to jednak ten potok jest własny i gdy wiotczają mięśnie, to on właśnie spycha nas delikatnie w głąb oceanu.

4

Największy holograf na świecie, pomiędzy kośćmi twojej czaszki, gdy leżysz w bezkształtnej pościeli, wyświetla reportaż z Festiwalu Teatrów Kukielkowych, jesteś tam wielorybem i wodą jednocześnie; panem księgowym z papierosem za uchem, panią menadżer ze złotym łańcuszkiem, który wprawia cię w trans, gdy kiwa się na jej szyi. Masz trochę czasu, nim spektakl

nabierze rozpędu, możesz pozwolić,
by przyklejona do szyby twarz zostawiła
karykaturalne odbicie. Nie chcesz noży
na scenie, zastąpi je grad. Kukielki
mrą, mruczając swoje kwestie i migoczą
przez chwilę. Widzowie patrzą uniesieni,
świecą ich oczy i drgają wargi.
Później gdy sam gaśniesz, oni gasną z tobą.
Towarzysze podróży
bez zgody na odwrót.

Zagranica

Tajny kodzie zagraniczny, Sroko,
pierzasta raco, rozdwojona jak księżyc
na te tam ciemne strony, w których
morza, łodzie, algi i wodorosty,

o których nie umiem powiedzieć wprost,
że mnie urodziły, ale coś jest
w tym ciemnym zakątku ich pamięci,
że kiedy cię widzę, prawie natychmiast

widzę twoje gniazdo. Niebezpiecznie
widoczne. Kupkę gałęzi zrzuconych
z góry, na wylepioną błotem ziemiankę,
gdzie siedzisz, błyskając oczami. I ja

też siedzę, jak mnich w medytacji,
chcąc zrobić ci zdjęcie. Ale powstrzymuje
mnie ta rzeka obok, śmierdząca
i cicha. Jakie to ma znaczenie — ten ruch

pośród gałęzi, ten pozamiejski życiorys,
szmery i szumy, dochodzące tu skąd?
Pewnie że tak jak jest, jest najlepiej,
lecz lepić ten czas, uznać klęskę?

Poskładać wszystko w monogram rysowany
na ścianie dobrym sprejem. Zostawić
ślad, tak samo kruchy, obcy, zagraniczny;
jak twoje skorupki, niebieskawe

i pęknięte, lustra, szybki, drzazgi, pamięć,
z której wykołysało się następne
istnienie? Siedzę tu. Siedzę i nawet
tego nie potrafię dobrze opowiedzieć.

Kantyczki pana Sommera

3
Powstaje pytanie. Gdzie?

Na krawędzi. Między świtem
a samochodem rozpryskującym błoto,
zadają je mleczarze, gdy
na białej karteczce drobnym pismem
piszą: śmierć wywęszyła kwaterę,
pozostałem wierny.

A później smok zaczyna
swój rytualny taniec. Na masce
samochodu brudna maź
i rysunek anatomiczny „pana i pani”,
gdy już znudzeni klasyczną pozycją
zmieniają ją na ekstrawagancką,
tańczą jak krążownicy na
żółtym morzu.

Właściciel samochodu głądzi
tak, że słycać go aż tutaj, gdzie siedzę
i zastanawiam się, jak powstaje pytanie.
Czy obrasta jak kość topielca
wodorostami? Czy może
przypomina wir w Warcie?

Jałowe te przypuszczenia i suche
jak jajecznicą, którą zrobili mi rankiem.
Nim wyjechali, wyciągnęli z lodówki
sterty jedzenia, między szynką
a cebulą pyszniły się jajka, oto miara
grozy — gdy inni widzieli je całe,
ja dostrzegłem skorupki.

Przedbiegi

Ta... jestem trzydziestoletnim
facetem i leżę. Wychodzi mi to lepiej
niż wszystko inne. Gromadzę się nad ranem
w okolicach kawy i obserwuję
jej pianę na brzegach kubka.
Zawsze ci mówiłem, że to jest powietrze,
a teraz zmieniam zdanie i gdy przychodzi
sąsiadka, jej pomarszczone ciało studiuję tak,
jakby była lekcją układania bukietów.

Chociaż rosnę, to inaczej niż przedtem.
Jej głos może stać się twoim głosem.
I całe moje zwierzę wychodzi naprzeciw
sączącym się zza okna pomrukowi ulicy.

Być może jeszcze czuję różnicę,
skrobiąc pysk żyłką, żalując czasami,
że nie mogę wraz z warstwą włosów
zdjąć wydarzeń, które, o tak, chciałbym bardzo,
mogłyby spłynąć w korzenie kanalizacji.

Ale nie da się „zrobić początku”.
Zawsze jest letnio i bez drgawek.
Powszednie wiadomość podawana co rano:
będziesz upadać.

Naśladownictwo

Wysuszeni, nadzy i wąpiący, tacy
są nasi lokatorzy. Fen ich drażni i wąpią w Boga,
patrzac na wzgórze i płacząc na Cytadeli,
w dzień zaduszny wspominając angielskich lotników.
Czy chce się nam wymieniać wszystkie te zmarłe
nazwiska?

No i ich lustra, nie zapominajmy
o pieśniach powleczonego rtęcią szkła,
o tygrysie pod powieką, który się wyzwoli,
wyzwoli, gdy będziemy dużo czytać.
(Tak co dzień rano widzę ich w koszulach,
słyszę te szepty, później głośnie śmiechy).

Moja muzyka jest muzyką ciała,
gdy chcę wydobyć dźwięk, to stukam
płaską dłonią o rozgrzany kamień,
dźwięk jest jak postać ledwo co widziana,
powidok czegoś, co się utkało w umyśle,
a umysł jest tkaniną, która nie ma granic,
bo gdzie granice tego, co tka się bez przerwy?

Ale czy oni mają muzykę? Chłopiec,
co wąskie stopy natarł olejkem do opalania,
jego kochanek, który już śpi od południa,
i przyjaciele i znajomi palący się w słońcu,
Ci przyjechali z Treviru, tamten z Akki,
wiem, że widzieli Krzyż Południa i zazdroszczę
chłosty w ciemnym pokoju na Via Nuova,
tych opowieści słucham drugi tydzień,
a jednak nie mogę usłyszeć muzyki.
Może to zresztą tak być musi,
stoję z patykiem w dłoni skrępowany,
bielszy niż mur, o który się opieram,
słyszę, że chłopiec czyta, patrzę tylko,
wiem, że o nic go nie spytam.

Wszystko mi jedno

teraz to będę pisał smętne
wiersze o smoku Fafnerze,
o dziurce od klucza i zgrzycie,
jakaś pieśń z tego wyjdzie,
sznureczek znaków na kartce,
gdzie blask i czerń zlewają się
w jezioro, nad którego brzegiem

podejrzane panienki szepczą
o muzyce.
A Ty będziesz
w dalekim mieście planował
następne dni. Przy rozmowie
wspomnisz coś o śmierci
i jak byłoby dobrze spotkać
się znowu. Zwłoka jest zła,
nie zwlekajmy, zróbmy to
natychmiast.

Odległość jest dla odrzuconych.

Rozciągnięcia

Wieczór jest zwyczajnie soft,
czarno-białe nasionka rośliny leżą na watce
i kielkują, nikt w domu nie zna jej nazwy
ani nawet nie wiadomo, skąd przybyła,
a jednak kielkuje.
Najwyraźniej ta wiedza skąd, dokąd, dlaczego
jest jej zbędna. Z sąsiedniego pokoju dobiega
delikatny scratching, Marek na tym tle
mruczy swe medyczne mantry — nazwy leków
jak imiona odległych planet.
Wszystko wydaje się jak na holenderskim
obrazku, połyskliwy werniks oddala
w oszalałymi refleksach myśl,
że, ona urośnie, dojrzeje i zniknie,
zostanie pestka.
Kość obrana z tajemnicy,
właściwie sama tajemnica.

Książeczka do pokrewieństwa

Nad czym się pochylam, gdy myślę o Tobie?
Nad studnią, strumieniem czy strupkiem na dłoni?

„Jest jakaś krew w tym ciemnym żargonie
ktoś ciągnie wagon po tym bocznym torze”.

Czy jest rym do gorzkiej książki, którą tu czytałeś?
Kto nas opisał:

„mówią, że jak zwierzęta
tarzali się w pościeli
i Bóg na nich patrzył, święci i anieli”?

Senariusz

Jehowa przyszedł i zawirował w pokoju.
Przypominał pływaka żółto-brzeżka,
gdy spokojnie unosi się w toni,
trzymając martwego ciernika.

Chciałem uratować, lecz osad
z głębin podniósł się i przeszkodził,
jedyną broń, moje usta,
zamknął pieczęcią z gliny.

Kim byłaś rybo, że szarpałem się
przez pół nocy, by wyrwać cię z uścisku?

Nawet nie znam ostatecznego wyniku,
sędziowie rozsypali się jak konstrukcja
z domina, sędziowie też osobliwi —
trzciny i kłacza w zupełnym mroku.

Katalogi

Koszulka Marka na poręczu fotela.
Zniszczony parasol.
Ciemna plama spodni.
Pełnia w zamieszkałej klatce
ptaka bez gatunku i nazwy.
Niejasne sprawki z portfelem.
Brak kasy na wyjazd.
Wybite z rytmu, nieme urządzenie,
krztuszące się, gdy powinno bucząć.
A gdy pod wodą zaczyna się taniec,
ono zupełnie szaleje.
Ten dźwięk niszczy tkanekę
innych dźwięków.
Zupełnie jak wtedy, gdy przewieszony
przez balkon, tuż przed pierwszą kawą,
patrzę na twarze zmieniające się w potok.
Ciągły cykl przemian nuży,
powracam do świata, gdzie jak zwykle
każdy skok z dziewiątego piętra
poprzedza rozmową wyrozumiały zestaw
sprzętów codziennego użytku.
Jaskrawa żyłtka na tle zacieków mydła.
Ten tępy kranik plujący się jak facet
po piątym piwie, bodajże wczoraj,
na schodach przy rynku.
W końcu jakoś płynie, jak każda woda
na tej planecie, poranek bez nazw,
mroków i półcieni:
wielkie święto jak każdego roku.

Dowód

Jurne jarzeniówki ciągle świecą, nie przeszkadza im nic.
Chciałbym się nawrócić na to jasne sprzężenie, ale milczą.
Czegoś tragicznego domyślam się w tutejszym powietrzu.
Jurek ma raka? Czy może puściła go kantem.

Zmiana warty przybędzie nad ranem, błądy chłopiec zastuka w drzwi
i powie: odchodzimy, i smagnie batem psy, popędzimy w śnieg,
o to chodzi, żeby w końcu trafić na biel.
Ale chłopiec i bat? To dwuznaczne.
Przyglądam się ścianie, pod się jak człowiek przyłapany na kłamstwie.

W czym kłamie ściana? Czy jest kapelan
od ścian, czy psycholog czuwa z kartką?

Dlaczego błądy chłopiec, a nie na przykład Murzyn,
albo konkretnie Wojtek, ten który strzelał kiedyś do gołębi i drzał,
gdy ściagała go osa? Skąd to skojarzenie światła i seksu,
czyżby port był blisko?

A w końcu gdzie dąży to drzenie, gdy już ujdzie z ciała?

Jest jakieś niebo za horyzontem, rozległy sad
i ani jednego jabłka?

Sklepik

Skrzela ryb jak piwonie już w rozkwicie
choć patrzących mało.
Facet zarabiający na życie
ich sprzedają
stuka w szybkę akwarium i uśmiecha się skrycie.
Coś okrutnego jest w tej wodzie o zielonkawym
zabarwieniu,
nawet tępe bzyczenie much wyraża niepokój.
Wentylator wysiadł i nie kręci się wcale
i powietrze tężeje jak kisiel.
Gdy wychodzę, towarzyszy mi dzwonek
i rechot papug, nagle zaniepokojonych ruchem.

Wynieść

śmieci jeszcze przed północą
i w momencie, gdy głuchy dźwięk kontenera
rozbije nieustanny szmer owadów,
zastanowić się jak wracać.
Czy okrężną drogą, długi spacer spowolniony papierosem
i wymianą spojrzeń z sąsiadami pod trzepakiem, czy może
inny wariant — ten krótki skok przez wykop w bok od betoniarki

i skręt przy workach z wapnem w prawo
i jest się pod drzwiami domu — nie wiem.

Na razie wędruję w myślach po ślepnącej mapie,
brzegiem czegoś, co trudno jest określić jako jakiś
uchwytny moment.

Ty właśnie rozpoczynasz obrzęd zasypiania, a ja
staram się nadać sens skokowi przez wykop.

Są jeszcze wersje mniej drapieżne, jakaś śmierć
w poczekalni, idiotyczny film o trzeciej w nocy.
Autobus zwany „Coś Innego”, z którego
zawsze się korzysta przy święcie niepewności.

Oczywiście w końcu wstaję i wynoszę,
przed wpół do pierwszej, zabawiając się
wyborem schodka, którego nie dotknę.

Mała medytacja

Miska z wodą emaliowa i mydliny
brudne od rdzy z czyszczonej blachy.

Idę wynieść to na dwór i wylać pod drzewo
spienioną masę czegoś, co nie żyło,
choć może nie do końca, ta woda
mogła być częścią czyjegoś ciała,
żelazo też, a nawet mydło —

właściwie wszystko kiedyś wszystkim.

To mnie onieśmiela i delikatnie ją kładę.

Potem patrzę w okno. Ciągłe schylone
cienie snują się po kuchni, z dwóch
lamp pada światło. Lep pełen much
kołysze się miarowo na kinkiecie —

sam środek świata i wiedzy o świecie.

Pani Michałowska

Pani Michałowska umarła we wtorek.
Nad ranem znaleźli trupa, nad ranem.

Jej pończocha wisiała za oknem, podarta
i zacerowana, i znowu podarta — wzory
skłębionych myśli odcisnięte w powietrzu.

Kiedy ją wynosili, pies zawył i kawa
wylała się na obrus. Z okrutnej sierści
jest ten świat utkany. Taka myśl krążyła

jak mucha nad kanapką, w czaszce pustej,
białej, przesiąkniętej pleśnią.

Potem prześcieradło wdarło się na pierwszy plan.
Zagrało scenę z wiatrem, sznurkiem, z upadkiem
na ziemię. Już wieczorem było szmatą
i następnego ranka nie istniało.

Rozdzielone na włókna,
przyczepione do drutów, do drzew,
których gałęzie sięgają aż tu, wysoko,
do pokoju, gdzie ona umarła, we wtorek,
nad ranem, podobno przed czwartą.

Puch

Miasto niczym punkt programu w kiepskim przedstawieniu.
Nieobecne już od godziny w monologu faceta z piwem.
Jednak już za chwilę będziemy je mieli, proste jak kazanie
o niegodziwym koleźce kradnącym kurtkę z szatni szkoły,
do której chodziliśmy dniem i nocą, dniem i nocą bez ustanku.
Oszukując za każdym razem, gdy wywoływano nas do tablicy.

Mam tylko nazwisko bez ciała i jestem ciałem bez imienia.
Tlenionej nauczycielce w kusej spódniczce, która skromnie tańczyła
na każdej imprezie, to właśnie mówiłeś, aż przecierała oczy,
aż na jej twarzy wykwiłał uśmiezek, jak pleśń zabarwiająca kawy,
które sto lat temu zostawili rodzice w filiżankach białych jak puch gęsi,
delikatnych jak śmierć, mocnych jak gęsta rzęsa na jeziorze. Słowem:
żadnego nowego wrażenia, tylko ten plastik szczęśliwy i gadzi
uśmiech, złoto zabawiające się z rajfurem, błękitny kryształ
w piździe kochanki. Nie pamiętam kiedy otworzyła drzwi
prosząc nas: spadajcie.

Nieważne są te rzeki i strumienie, w których ukrywa się ciernik,
z gniazdem ze śliny, puchu i kamieni, ani błoto wysychające na podeszwie
buta, którego już nie włożysz, bo wkradł się demon, pękły szwy,
poszło w cholerę całe lustro. Jedynie pociąg, pocięte siedzenia, skaj i trawa
palona w półmroku i postać w rozkroku, która za chwilę cię uderzy.
Usta z sączącym się monologiem, wszystkie świąteczne słowa, zagadki
i pytania, których nie zadałbym wcale, gdyby nie okno, zakurzona framuga,
pył naprowadzający stale na jedną i tę samą metaforę, opadającą
jak świetlisty refren, kadencje w muzyce.
Akord bez początku.
Wszystko co brudne zmieniające się w czyste.

Nieskończone okna

Nieskończone okna. Puszka z farbą
przy rolce tapety. Remont osiągnął
etap, w którym przemienia się w teatr.

Trzy złote brakuje do rozpuszczalnika.
Wszystko, co gęste, w tym upale
staje się jeszcze bardziej nierealne.

Dla mieszkańców sąsiednich okien
przestaliśmy już być widowiskiem.
Już nie pytają o podłogę zasłaną gazetami
i o to dlaczego późną nocą czytasz je,
chodząc na czworaka i skąd ten napis,
wielki tak, by wszyscy widzieli:

moja skóra kończy się nocą.

Rano

Dziura w piersiach po przebudzeniu rankiem
zalana kawą z trzech łyżeczek, nie bardziej
doskwiera niż strupek po komarze.

A jednak jest pusto. Wieczorem czytana
gazeta już zsunęła się ze stołu
i niczego nie wypełnia, płasko opadła
na podłogę i trwa tam jak fładra na dnie.

Nie chcemy się zauważyć nawzajem.

Ciśnienie pewnie spada, bo sen nie
odkleja się od świadomości, tylko
ciągnie ku sobie, jakby chciał przeciągnąć
linę na piknikowym konkursie.

Gorąca kawa wygrywa, choć
ciągle jest jeszcze tępo, płasko i brudno.

Ostatnie zdanie ze snu ciągle nęci,
choć jest tylko strzępkim:
„ulica Nieszawska w prawo i przez krzaki”.

Reszta jest zamazana, dziury, luki, braki.

Porno

Wieczór. Na ławce ostatniego
papierosa dopala się szybko.
Jakiś skate śmiga po placu.
Wygina ciało a popiół opada
na trawę. Seks z tą „ciszą”
jest zupełnie niemożliwy.

I ja także jestem niemożliwy.
Nerwowo biorę ostatniego
macha i otumaniony ciszą
przenoszę się szybko

na drugą ławkę. Skate opada
na zimną glazurę placu,

jakby był panem placu.
Wydaje się niemożliwy
ten ruch, gdy lekko opada.
Kiedy tu byłem ostatniego
razu, nie robił tego tak szybko.
Tak czy inaczej jest ciszą,

która jest irytująca, ciszą
pochłaniającą przestrzeń placu,
jak pustynia, tajemniczo i szybko.
Choć nie jest niemożliwy
scenariusz, w którym do ostatniego
znikają domy wokół, opada

kurtyna, właśnie tak, opada
powoli obciążona ciszą
i spojrzeniami widzów, ostatniego
widza. Tymczasem na placu
następny piruet, niemożliwy
do powtórzenia. Wykonany szybko

wabi jak porno, by szybko
go utrwalić. Lecz jego ciało opada,
jest w tym ten niemożliwy
rys, szczelina wypełniona ciszą,
tak, że zamieramy na tym placu,
oglądając pierwszy raz coś ostatniego.

Szybko się męczy, opada z sił,
i leży na placu jak niemożliwy teraz śnieg.
Do ostatniego ścięgnię wypełniony ciszą.

Żegnaj Plastusiu

Drobniutkie sacrum idzie pod prysznic,
pogasło w nim coś raz i drugi, przed
lustrem sprawdza opryszkę na wardze,
nie można ufać opryszcze, trzeba zawsze kasać.
Choć światło żarówki zwięża źrenice,
końcówki włosów trzeba przystrzyc,
to co nowe też patrzy uważnie,
choć w mgle jest jeszcze i zebra nie wyjął,
aby wykołysać ciebie. Ale ruch już się zaczął,
na krzywych nóżkach kuśtyka dookoła,
nic konkretnego w blasku oka.

Żart na niepogodę

Ryba chowa pocałunek
i mała piaskowa burza zasłania listek
wodorostu, który leżał
przy sztucznej muszli. Światło
też jest sztuczne tutaj i sztuczne
są sposoby myślenia o tym, po co
jedną rybę trzymać w tak wielkim
akwarium. A co jeśli uderzy piorun,
wśliźnie się cicho i spali nas nagle?
Co jeżeli zatrzęsie się ziemia?
Będziemy mieli komorę grobową
z indonezyjską rybką, której łuski
iluminują w ciemnościach?
Kto ją nakarmi rozwielitkami,
kto będzie patrzył jak śmiesznie
porusza pyszczkiem i stukał w szybę,
mówiąc: zdenerwuj się, nastrosz,
już pora?

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pasewicz-dolna-wilda>

Tekst opracowany na podstawie: Edward Pasewicz, *Dolna wilda*, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2006.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Okładka na podstawie: [Jim Pennucci@Flickr](https://www.flickr.com/photos/jim_pennucci/), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-5226-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przełącz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).